



OŚRODEK
SPRAW
AZJATYCKICH

ARCHIWUM
MARZEC 2013 - MARZEC 2014

na temat CHIN

KONRAD GODLEWSKI

PUBLICYSTA ZAJMUJĄCY SIĘ CHINAMI ORAZ AZJĄ WSCHODNIĄ

Lekcja 1. Rydwany Ognia

W Chinach coraz trudniej wsiąść do pociągu byle jakiego, bo nowe ekspresy są naprawdę w porządku.

Moje pierwsze spotkanie z Warszawą odbyło się pewnej zimowej nocy 30 lat temu, kiedy jako krakowiaczek jeden (l. 6) wysiadłem ze składu PKP na Dworcu Centralnym, będącym wówczas symbolem polskiej nowoczesności. Z tego spotkania najbardziej utkwił w mej pamięci bezkres przestrzeni, rozciągającej się wokół przystanku autobusowego w centrum stolicy. W mroźnej dali piętrzyły się wysokie budynki, a na ich fasadach i na dachach migwały kolorowe neony. Zmagałem się już wówczas z opanowaniem trudniej sztuki czytania, toteż odszyfrowałem jeden z pulsujących napisów:

„Koleje... radzieckie... szybkie... punktualne... pewne...”

Od tej chwili minął szmat czasu i dziś na Centralnym nie ma już śladu po PRL-owskich neonach, ani po kolejach radzieckich. A jednak podróż polskimi drogami żelaznymi zawsze jest dla mnie podróżą sentymentalną, nawet więcej – podróżą w czasie. Zmieniały się rządy i mody, upadały niewydolne przedsiębiorstwa, rosły wieżowce w Warszawie, hipermarkety na przedmieściach oraz biusty celebrytek w telewizji, a mimo to polskie koleje roztaczają nieodmiennie czar minionej epoki. Wsiadając do pociągu byle jakiego od razu przypominam sobie, że kiedyś byłem małym chłopcem (hej!). Do wspomnień zachęcają: ślimacze tempo podróży, nie najnowszy tabor i ten specyficzny zapaszek, który się unosi w wagonach i na dworcach.

Moje **pierwsze pociągowe podróże po Chinach** na przełomie tysiącleci miały ten sam urok, co przejażdżka pośpiesznym składem PKP na letnie wakacje. A więc – gorąco, tłok, swądek spoconych ciał, woń rdzewiejącego żelastwa i aromat kolejowych smarów; zasypana śmieciami podłoga i egzotyczni towarzysze podróży; smakująca przygodą chińska zupka błyskawiczna, zalana wrzątkiem z opalanego węglem bojlera na końcu wagonu. I jeszcze kliwne piosenki puszczone przez radiowęzeł. I te pogaduszki z towarzyszami podróży; jeden (student z Pekinu) przekonywał mnie przez godzinę do marksizmu-leninizmu, podkreślając swoje pełne oddanie dla tej ideologii; drugi, emigrant w nocnym do Szanghaju, zachwalał pasażerom w przedziale uroki kanadyjskiej demokracji, by zamilknąć niczym głąz na widok konduktora. Wreszcie, podobny do Indianina z Dzikiego Zachodu czerwonoskóry przedstawiciel ludu Hani z prowincji Yunnan – urzekł mnie swym stoickim spokojem i bezpośrednią życzliwością, tak kontrastującą z hałaśliwą ciekawością Hanów. Trzy dni z nim przegadałem, bo aż tyle trwała podróż pośpiesznym z Kunmingu do Pekinu.

Dziś tego świata już nie ma, bo jakby to ujęła Maria Dąbrowska, „tu zaszła zmiana”. **Chińska kolej** – obok bombastycznych wieżowców czy rekordowych mostów – **stała się jednym z najbardziej namacalnych efektów wzrostu gospodarczego**. Jak kraj długi i szeroki, pobudowano dworce – świątynie mobilności, przestronne i gwarne niczym rzymskie Koloseum w dniu igrzysk. Wnętrza poobwieszano LED-owymi ekranami, zabudowano fast-foodami, a wyjścia na perony obstawiono bramkami biletowymi, podobnymi do taśm fabrycznych z filmów science-fiction. Wypluwają one strumienie podróżnych, którzy gdzieś po drodze zapomnieli, iż obowiązkiem chińskiego pasażera jest krzyczeć, spluwać i ciskać na podłogę łupiny słonecznika, a nade wszystko wyciągać przed siebie nogi, uwieńczone stopami w nylonowych skarpetkach. Ale jak tu spluwać, pogryzać i wyciągać nogi, kiedy człowiek wciąż siedzi z nosem w smartfonie? W schludnej przestrzeni nowych ekspresowych wagonów ludzie stali się spokojniejsi, ale też bardziej sobie obcy. Trudniej o pogawędkę, trudniej o azjatycką egzotykę. Wygoda zabiła przygodę.

W ciągu kilkunastu ostatnich lat Chiny doszłusowały do światowej czołówki kolejnictwa. Pociągi rzadko się spóźniają, ceny biletów są niskie w porównaniu do cen europejskich. Pod względem łącznej długości torowisk Chiny gonią już tylko USA i Rosję. Najdłuższa na świecie linia kolejowa z Kantonu do Pekinu została otwarta w grudniu ub. roku, a kolej tybetańska reklamuje się jako najwyżej położona na świecie. Ze 120 tys. km dróg kolejowych w Chinach, 18 tysięcy kilometrów przypada na szybką kolej (zwaną potocznie *gaotie*, 高铁), która porusza się z prędkością do 300 km/h. Dzięki temu z Szanghaju do Nankinu (odległość mniej więcej jak z Warszawy do Krakowa) dostać się można w godzinę, a do Pekinu – w pięć godzin.

Jest w tym chichot historii, że koleje chińskie przeżyły radzieckie i same stały się „szybkie, punktualne, pewne”. W końcu Rosjanie w Chinach należeli przecież do kolejowych pionierów, budując w zawłaszczonej Mandżurii słynną **Kolej Wschodniocihńską**, przez którą przewinęły się również tysiące Polaków (jej pierwszym szefem był inż. Stanisław Kierbedź, stryj konstruktora słynnego mostu w Warszawie). Kolejnictwo w pierwszych latach ChRL rozwijało się z rosyjską pomocą, a jej wycofanie po rozłamie radziecko-chińskim w 1960 roku było dla Chin ciosem. Dlatego ukończony w 1968 roku w Nankinie most kolejowy przez Jangcy – pierwszy w całości zaprojektowany i zbudowany krajowymi siłami – stał się symbolem chińskiej niezależności. Do figury Mao Zedonga umieszczonej w jednym z jego pylonów na wschodnim brzegu rzeki do dziś pielgrzymują wycieczki.

Ale **współczesne chińskie inwestycje kolejowe są wyrazem nie tylko bezdennych funduszy w państwowych bankach**, chciejstwa ministerialnych decydentów czy ślepego centralizmu. Ujawniają one również **specyficzne myślenie o roli państwa**, szczególnie jeśli chodzi o szybkie połączenia o dużej przepustowości. Warto zauważyć, iż pierwsza w Azji Wschodniej zaczęła rozwijać szybką kolej Japonia (jeszcze w latach 60. ub. wieku). Republika Chińska na Tajwanie – także demokratyczna – dumna jest z

ekspresu, od 2007 roku łączącego południowy i północny kraniec wyspy, Tajpej z Kaohsiungiem. Można się zastanawiać, na ile kolejowe plany współgrają z tradycyjnym, dalekowschodnim kolektywizmem, ale nie sposób odmówić im pozytywnego wpływu na gospodarkę.

Szybka kolej w Chinach przynosi wprawdzie straty (Ministerstwo Kolejnictwa równoważy je zyskami z przewozów towarowych, m.in. węgla), niemniej **pociągi dowożą jednocześnie miliony pracowników z mniej rozwiniętych regionów Chin do centrów produkcji**. W okresie Chińskiego Nowego Roku duże metropolie wzdłuż wybrzeża wyludniają się, bo rzesze pracowników fabryk i sektora usług wracają do siebie, do miast i wiosek w głębi lądu. Ten ruch obsługuje w dużej mierze kolej. Gdyby nie ona, system gospodarczy dostałby zadyszki.

Zabawne, że obowiązujące nadal potoczne określenie pociągu w chińskim pochodzi z czasów lokomotyw parowych. *Huoche* (火车), czyli „**ognisty pojazd**” to jedno z pierwszych słów, jakiego uczą się cudzoziemcy ze swych chińskich czytanek. Dla żartu można je przetłumaczyć jako „**Rydwan Ognia**”, bo znak *che* to etymologicznie rysunek wozu albo rydwanu. Chińska kolej ma jednak przykazane, aby tego kolokwializmu unikać. W oficjalnych komunikach obowiązuje termin *lieche* (列车), co dosłownie oznacza „pociąg”, bo *lie* to „ustawiać [coś] po kolei, w linię”. Termin ten używany jest również jako nazwa kolei podziemnej w dużych miastach (**metro w Chinach też szybko rośnie**).

Będąc łatwo dostrzegalnym przejawem zmian, kolej mknie w awangardzie **rządowej propagandy sukcesu**. Chińskie superekspresy nazywają się oficjalnie *Hexie Hao* (和谐号), czyli „**Harmonia**”. Termin *hexie* towarzyszył rządowi Hu Jintao, a pochodzi z tzw. **Koncepcji Naukowego Rozwoju**, którą do chińskiego marksizmu dodał właśnie Hu, obiecując budowę „**harmonijnego społeczeństwa socjalistycznego**”.

Spółeczeństwo jak społeczeństwo, ale kolej za jego rządów niewątpliwie udało się Chinom rozwinąć.

Jaki ślad spróbuje po sobie zostawić nowa ekipa?

Chiny i Polska. Ogarnijmy się!

Dlaczego jest tak mało polskich firm w Chinach? Dlaczego polska prasa tak chętnie i łatwo zbywa Państwo Środka ogólnikami i stereotypami? Dlaczego nie potrafimy w pełni wykorzystać szans, jakie daje światu rozwój chińskiej gospodarki?

Tego rodzaju pytania od lat padają w środowisku sino-specjalistów. Zajmując się Chinami od 15 lat, wielokrotnie miałem okazję się przekonać, iż **Polaków mówiących po chińsku, czy też prowadzących z Państwem Środka ożywione interesy, jest znacznie więcej niż ktokolwiek mógłby przypuszczać**. Ciągłe odkrywam rodaków pracujących w Chinach w międzynarodowych koncernach, utrzymujących własny zakład produkcyjny albo oferujących na miejscu usługi translatorskie. Znam śmiałków, którzy prowadzą w Chinach działalność tak zaskakującą, jak produkcja kiełbasy, sprzedaż gofrów, marketing tzw. wirtualnych przedmiotów z gier komputerowych czy wyrób nagrobków. Ale wobec skali interesów, jakie prowadzą w Chinach nasi partnerzy z UE, i tak ciągle jawimy się jako – mówiąc dobitnie językiem polskiej żulii – „małe miki”.

Z oczywistych powodów chcielibyśmy – chciałby niżej podpisany, cały zespół Natematchin.pl i pewnie czytelnicy tego tekstu – aby stosunki polsko-chińskie nabrały większej wagi. Marzyłoby się, żeby nasi politycy i przedsiębiorcy en masse mieli na temat drugiej gospodarki globu więcej do powiedzenia; żeby dostrzegali, iż współczesny świat nie kończy się na Unii Europejskiej, lecz zaczyna w Azji Wschodniej. Zaczyna nie tylko ze względu na linię zmiany daty (dzięki której Azja każdego dnia pierwsza na świecie wstaje z łóżka), lecz także ze względu na rosnącą rolę całego regionu. W powszechnym odczuciu sino-specjalistów, **Polska nie jest w Azji Wschodniej zaangażowana w takim stopniu, w jakim pozwalałaby na to jej potencjał**.

Polski Internet dochował się grupki pociesznych blogerów, którzy szeroko rozpisują się na ten temat i na wyjaśnienie obecnego stanu rzeczy znajdują proste wyjaśnienia. Jeden z uporem godnym lepszej sprawy głosi, że to wszystko spisek Waszyngtonu, a drugi stawia pod pręgierzem „Gazetę Wyborczą”. Sprawa jest oczywiście znacznie bardziej złożona i zasługuje nie na drwinę, lecz na głębszą refleksję. Miną lata zanim nasza obecność w Chinach dorówna – proporcjonalnie do naszych możliwości – obecności niemieckiej czy francuskiej. I nie jest to tylko kwestia dysproporcji pomiędzy PKB Polski i wspomnianych krajów. To przede wszystkim kwestia różnic systemowych, tradycyjnego podejścia przedsiębiorców i urzędników oraz dysproporcji kapitałów – nie tylko finansowego (polska gospodarka małymi i średnimi przedsiębiorstwami stoi), ale też kulturowego i społecznego. A wszystko to znajduje wytłumaczenie w historii.

W przeciwieństwie do Francji, Niemiec czy USA, **Polska nigdy nie była mocarstwem kolonialnym**. Poza rzadkimi wyjątkami w rodzaju Nowej Kurlandii, Rzeczpospolita nigdy nie rościła sobie pretensji do terytoriów zamorskich. Nie brała też udziału w globalizacji, kiedy ten proces rozpoczął się wraz z epoką odkryć geograficznych i nabrał impetu w XIX wieku – Polski po prostu wtedy nie było. Przeciętny Brytyjczyk może mieć wśród bliższych i dalszych krewnych kupców z Kompanii Wschodnioindyjskiej, piratów z Karaibów albo australijskich zesłańców. Polak pochwali się najwyżej krewniakiem, który przepadł w sowieckim łagrze albo wyjechał za chlebem do USA, gdzie w drugim-trzecim pokoleniu kompletnie się zamerykanizował. Stąd – w moim przekonaniu – bierze się u Polaków niewielkie zainteresowanie sprawami świata, szczególnie odległego, włączając w to Państwo Środka. Taka jest po prostu nasza tradycja: gdzieś tam daleko „Chińczyki trzymają się mocno”, a my idziemy w chocholi tan z naszymi starymi upiorami.

Warto podkreślić, że w stosunkach Polski ze światem pozaeuropejskim brak było sprzężenia zwrotnego. To, co z Polski wyszło, już do niej nie wracało, lecz ginęło gdzieś bez większego sensu i pożytku – bez różnicy, czy mówimy o pieniądzach, ideach czy ludziach. Ginęło, tak jak **Michał Boym** ze swoimi pionierskimi pracami na temat chińskiej przyrody, które przypisali sobie plagiatorzy; tak jak **Maurycy Beniowski**, który po życiu pełnym barwnych przygód i możliwości padł martwy w niepotrzebnym, francuskim konflikcie o Madagaskar; tak jak niejaki **Wróblewski**, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa (temat wart zbadania!) założył w Harbinie najstarszy chiński browar, o trzy lata wyprzedzając słynny browar Tsingtao w Qingdao; tak jak **Witold Urbanowicz**, który po odejściu z Dywizjonu 303 pół roku walczył w Chinach z Japończykami, a potem wrócił do Polski i uciekł z PRL, aby ostatecznie osiedlić się w USA i pracować na rzecz tamtejszego przemysłu lotniczego (kiedyś przypominając Urbanowicza zakłóciłem spotkanie wyborcze jednego z czołowych polskich polityków, który palnął, że „Polacy bili się na wszystkich frontach II wojny światowej, za wyjątkiem Dalekiego Wschodu”). Kraje Zachodu pracowały nad swoją obecnością w Chinach przez lata i w miarę systematycznie, choć w XIX wieku nie była to praca godna pochwały. Nam tej systematyczności zawsze brakowało.

Polska, jak śpiewał Jacek Kaczmarski, była Penelopą narodów, która „co utkała, to spruła”, a stosunki polsko-chińskie nie są od tej zasady wyjątkiem. Dobrą ilustracją będą tu **dzieje polskiej sinologii**. Z oczywistych względów powstała ona dopiero po odzyskaniu niepodległości, a jej początki mogą budzić uśmiech politowania wśród dzisiejszych studentów przedmiotu. W 1925 roku Bogdan Richter opublikował w "Roczniku Orientalistycznym" pionierską rozprawkę o potrzebie polskiej transliteracji języka chińskiego. Z tekstu jasno wynika, iż autor nie miał pojęcia czym są tony (języki chińskie są tzw. językami tonalnymi) i kompromitował się, dociekając, czemu jeden z zachodnich systemów wymienia tyle rodzajów "e". Ale kilka lat później Richter nadrobił braki, a **w 1933 roku otwarto na Uniwersytecie Warszawskim pierwszą katedrę sinologii**.

Po wojnie mieliśmy z Chinami całkiem niespodziewane, długie rendez-vous. **Polska Rzeczpospolita Ludowa, jako jedno z pierwszych państw na świecie, uznała Chińską Republikę Ludową.** Na wyprawy do Chin ruszyli pierwsi studenci, uczeni, politycy, artyści i literaci, wśród których znalazł się m.in. Paweł Jasienica. Pierwsza w historii Chin firma joint-venture to powstałe w 1951 roku Chińsko-Polskie Towarzystwo Okrętowe „Chipolbrok”, które działa do dziś, choć – ironia historii – regularnych połączeń do Polski obecnie nie utrzymuje. W 1956 roku na Międzynarodowych Targach Poznańskich Chińczycy otworzyli wielki pawilon w rodzimym stylu, w którym można było podziwiać chińskie traktory i figurę Przewodniczącego Mao. Ten miesiąc miodowy skończył się stopniowo po 1960 roku, po rozłamie chińsko-radzieckim. Wycieczki do Chin urwały się, a polscy sinolodzy wrócili do badań Chin na sucho (czyli za pomocą książek, tablicy i kredy).

Dzięki ludziom wykształconym przed wojną i w latach 50., **polska dyplomacja utrzymała dobre stosunki z Chinami** w kolejnych, burzliwych dekadach, a w latach 80. nastąpiło ponowne ożywienie. Chińsko-amerykańskie rozmowy ambasadorów, które wraz ze słynną dyplomacją ping-pongową doprowadziły z czasem do wizyty prezydenta Nixona w Chinach, odbywały się w Pałacu Myśliwieckim w warszawskich Łazienkach. Gospodarczo też byliśmy w Chinach obecni, starsi mieszkańcy Pekinu i Szanghaju pamiętają polskie maluchy, polonezy czy nawet autosany, które w swoim czasie były za Wielkim Murem ostatnim krzykiem techniki. **Kiedy Chiny otworzyły się na świat, Polska nie musiała zaczynać od zera.** Ale potem przyszedł 1989 rok i historia znów dała znać o sobie.

Od zarania III RP mamy z Chinami problem. Z jednej strony uważamy się za demokratycznego prymusa i patrzymy na Chiny z wyższością ludzi, którzy zasmakowali „końca historii”; uważamy, że ta właśnie historia zobowiązuje do przekazania naszych doświadczeń i niesienia prometejskiego ognia demokracji. Z drugiej strony, mniej więcej w okolicach Expo w Szanghaju w 2010 roku, zauważyliśmy wreszcie, że **Chiny rozwinęły się gospodarczo**, na czym korzystają wszystkie największe gospodarki świata. I uważamy, że my też powinniśmy na tym skorzystać, bo skoro globalny prąd płynie na Wschód, to nie ma sensu mu się przeciwstawiać. Tak więc miotamy się wciąż pomiędzy interesem, a obowiązkiem; pomiędzy dumą (i poczuciem wyższości, że nam się udało zdemokratyzować, a Chinom nie) a wstydem (że nie udaje nam się tyle co im na niwie gospodarki). Z tego rozdarcia wyłania się dość infantylna dyskusja, która na chwilę odżyła na nowo w polskich mediach z okazji przyjazdu do Chin delegacji sejmowej.

W tej dyskusji wszyscy mają rację. I ci, którzy mówią, że należy skupić się na biznesie; i ci, którzy twierdzą, że historia zobowiązuje. Jest to fałszywy spór, który chętnie rozniecają media, bo emocje są chodliwym towarem.

Ale nic tak naprawdę z niego nie wyniknie, gdyż wszyscy odgrywają tu dawno napisane role. Gesty zazwyczaj nie mają wpływu na bieg wydarzeń, choć post factum człowiek – istota uwielbiająca wszelkie narracje – przypisuje im ogromne znaczenie. Dla polityka gest to takie samo narzędzie jak umowa gospodarcza. Tak naprawdę liczy się cel, plan i codzienna konsekwentna praca. Jak mawiał klasyk, „nigdy nie jesteś równie daleko od celu, jak wtedy, kiedy nie wiesz dokąd zmierzasz”. Z przyczyn historycznych polską bolączką pozostaje brak konsekwencji i długofalowej strategii, nie tylko wobec Chin. Niemieccy decydenci wiedzą mniej więcej, jakie sektory będą podstawą niemieckiej gospodarki za 20-30 lat i już do tego kraj oraz społeczeństwo przygotowują. Dla przykładu, polska gospodarka przez lata opierała i nadal opiera się na węglu. Ale kto wie, co będzie za 20-30 lat?

W ciągu ostatnich kilku lat okazało się niespodziewanie, że **Chiny uznały nas za strategicznego partnera**, co stwarza – jak każda zmiana – szanse i zagrożenia. Niestety, jakoś nie widać, by debata na ten temat toczyła się w polskiej przestrzeni publicznej. Dlaczego nie debatujemy o sprawach, które nie wywołują tyle emocji, ale mają naprawdę realne przełożenie na naszą sytuację gospodarczą? Na przykład o skuteczności chińskiej strategii **PAIiIZ**, odkąd **agencja otworzyła w Chinach swoje jedyne biuro zagraniczne**. Dzięki działaniom PAIiIZ, w Polsce zainwestowało już całkiem sporo chińskich przedsiębiorstw, ale jakoś nie zauważyłem, żeby polskie media rozpisywały się o tym, kim są ci chińscy biznesmeni, co sobą reprezentują i jak osiągnęli sukces. A są to przecież historie i ciekawe, i pouczające.

Dlaczego nie rozmawiamy o szansach i barierach, jakie stoją w Chinach przed produktami żywnościowymi z Polski? Przecież sukces tego eksportu (innych potencjalnych hitów eksportowych mamy w zasadzie niewiele) stworzyłby ogromne możliwości dla polskiego rolnictwa. Dlaczego nie rozmawiamy o polskim planie ściągania do Polski chińskich studentów, który jak na razie odnotował dość umiarkowane sukcesy? Dlaczego nie mówimy o tym, że niemal połowa naszego eksportu do Chin to jeden surowiec, co plasuje nas w jednej lidze z państwami najslabiej rozwiniętymi?

Takich tematów jest znacznie więcej. Nie pojawiają się, bo polscy dziennikarze i redaktorzy – nie ze swojej winy, tu znów kłania się historia – na ogół Chin nie znają. Co drugi artykuł o wizycie czy wyjeździe Polaków do Chin zawiera w tytule słowo „podbój”, choć na razie to chińskie firmy przejmują polskie, a nie na odwrót. Paradoksalnie, polscy redaktorzy uważają, że czytelnicy nie interesują się Chinami, bo tak przecież wynika z badań fokusowych. W efekcie **Chiny przychodzą do nas same**, a kiedy już przyjdą, przecieramy oczy ze zdumienia. Tak jak mój były szef w dziale zagranicznym jednego z ogólnopolskich dzienników, który tuż przed Olimpiadą w Pekinie powtarzał, że o Chinach nie ma sensu pisać, bo nikogo one nie obchodzą. Kiedy obaj zakończyliśmy pracę w owej redakcji, szef trafił do lokalnego

tygodnika na południu Polski, gdzie znajduje się jeden z większych w kraju... chiński bazar. I teraz, chcąc nie chcąc, sam musi się zajmować tym, co mi szczerze odradzał.

Wracając do trzech pytań postawionych na początku: jest jak jest, bo mamy takie, a nie inne, doświadczenia historyczne. Mamy takie, a nie inne, realia. I swoje własne złudzenia. Mamy tradycyjne zamiłowanie do improwizacji, za sprawą którego nasze delegacje niepotrzebnie giną w katastrofach lotniczych albo natykają się na budzące kontrowersje daty (za sprawą których wymaga się od nich realizacji mission impossible). Dopóki – mówiąc kolokwialnie – nie ogarniemy się i nie wytyczymy sobie długofalowych celów (włączenie chińskich firm w proces prywatyzacji w Polsce albo dopuszczenie ich do przetargów na terenie kraju z pewnością takim celem nie jest), polskich firm będzie w Chinach niewiele, a Chiny, Indie czy Afryka pozostaną egzotyczną bajką, a nie przestrzenią, w której można śmiało i konsekwentnie realizować polskie interesy. Dopóki tak pozostanie, będziemy leniwie sunąć po mętnych wodach tak zwanej „Europy drugiej prędkości”, a zwykli Chińczycy będą się szczerze dziwić, że Polska to kraj kilkukrotnie większy od Belgii czy Holandii...

Ogarnijmy się.

NA TEMAT CHIN

LEKCJE CHIŃSKIEGO

Lekcja 2. Xiao, czyli od nabożności synowskiej do emancypacji córek

Jeśli miałbym wskazać najważniejsze chińskie pojęcie, którego nie da się przełożyć na języki zachodnie, to wybrałbym *xiao*. O jego wadze przekonuje dyskusja, jaka rozgorzała po wprowadzeniu przepisów nakazujących dorosłym dzieciom częstsze odwiedzanie rodziców.

„Częste” składanie wizyt rodzicom po 60. roku życia zaleca ustawa wprowadzona w Chinach w zeszłym tygodniu. Dorosłe dzieci powinny również dbać o finansowe i duchowe potrzeby swoich krewnych. **Ustawa o ochronie praw osób starszych** (《老年人权益保障法》) stanowi m.in. że **nie można uwolnić się od obowiązku opieki nad rodzicami, zrzekając się prawa do dziedziczenia po nich**. Tekst wspomina również o obowiązku alimentacyjnym. Jeżeli dzieci nie zechcą się z niego wywiązać, staruszkowie mogą je pozwać. Jak w takiej sytuacji zachowają się sądy, nie do końca wiadomo, ale teoretycznie mogą zasądzić nawet pozbawienie wolności.

Chińskie media przeżyły nowe regulacje „**prawem o powrocie do domu**” (常回家看看之法), nawiązując do znanej piosenki (《常回家看看》), która zrobiła furorę podczas telewizyjnej gali noworocznej w 1999 roku (emitowana przez Chińską Telewizję Centralną gala towarzyszy tradycyjnie wigiliom chińskiego Nowego Roku i cieszy się gigantyczną oglądalnością). Piosenkę tę zna w zasadzie każdy Chińczyk, doczekała się ona długiej listy coverów. I nic dziwnego, bo noworoczny powrót do domu rodzinnego to dla Chińczyków taka tradycja, jak dla nas Boże Narodzenie. Muzyka budzi emocje, które realizatorzy teledysków wzmacniają emocjonalnym przekazem, ukazującym „zjednoczenie” (团圆) pokoleń.

Ale co innego tradycja, a co innego prawo. Chociaż w Polsce cenimy śpiewanie kolęd i dzielenie się opłatkiem z rodzicami, polskiemu ustawodawcy nie przyszłoby do głowy przestrzeganie tego obyczaju egzekwować na drodze prawnej. Tu dochodzimy jednak do **fundamentalnej różnicy kulturowej**. O ile zachodnia tradycja (i bodaj każda tradycja na świecie) nakazuje szacunek wobec rodziców i przodków, to w Chinach – i innych krajach Azji Wschodniej – ten szacunek ma wymiar szczególny. Wyraża się on w **tradycyjnej chińskiej cnotcie xiao** (孝).

Xiao to termin nieprzetłumaczalny. W języku polskim czy angielskim nie da się go oddać jednym wyrażeniem, bo cnota ta nie ma u nas kulturowego odpowiednika. Od biedy mogłoby nim być starotestamentowe przykazanie „czcij ojca swego i matkę swoją”, dlatego w angielskiej literaturze utarł się przekład *filial piety*. Polska sinologia używa terminu „**nabożność synowska**”, ale takie tłumaczenie w istocie niewiele objaśnia, a może nawet trochę wprowadzać w błąd. Młodym użytkownikom polszczyzny „nabożność” skojarzy się pewnie z mszą w kościele (nie jest to skojarzenie całkiem błędne); z kolei „synowska” błędnie sugeruje, że *xiao* ogranicza się wyłącznie do mężczyzn. Dlatego zostaniemy przy chińskiej transliteracji *xiao*, dodając, że w dawnej chińszczyźnie w miejscu x (współczesna wymowa odpowiada mniej więcej polskiemu ś) stała głoska h. Historyczne h zachowało się zresztą w zapożyczeniach z chińskiego do japońskiego i koreańskiego (w obu tych językach termin jest znany jako *hyo*), a także w wielu chińskich językach/dialektach, np. w kantońskim – *haau*.

Czym jest zatem xiao?

Najprościej mówiąc, **xiao to dług spłacany przez całe życie**. Nowy człowiek sam w sobie stanowi rodzaj kredytu, który winien się spłacić swoim kredytodawcom, czyli rodzicom. W powstałej kilka wieków przez Chrystusem „**Księdze Xiao**” (《孝经》, *Xiao Jing*) **Konfucjusz** tłumaczy, że skoro **rodzicom zawdzięczamy ciało, to nie wolno nam go bezcześcić** (trochę tak, jakbyśmy je od naszych przodków leasingowali). Wedle tej zasady, Chińczycy mężczyźni zwykli nosić dawniej długie włosy, bo ich obcięcie byłoby naruszeniem rodzicielskiej własności. Zgodnie z tą logiką nie wolno było popełnić samobójstwa, a jeszcze większą zbrodnią było naruszenie nietykalności

cielesnej rodziców. Francuski sinolog Marcel Granet opisywał przypadek syna i ojca, którzy zostali zaatakowani przez rabusiów. W trakcie walki syn przypadkowo zranił ojca, powodując jego śmierć. Władze nakazały jego stracenie – przypadkowo czy nie, naruszył *xiao*.

Utrzymywanie, leczenie i karmienie rodziców w podeszłym wieku było oczywistym obowiązkiem dzieci, a w zasadzie tylko synów (córki po zamążpójściu miały okazywać *xiao* swoim teściom). **Z *xiao* wiązało się również posłuszeństwo**, które należało okazywać rozporządzając majątkiem, szukając małżonka czy planując przyszłość własnych dzieci – we wszystkich tych kwestiach rodzice mieli zwykle ostatnie słowo. A kiedy się zestarzel i stetryczeli, należało ich otoczyć troskliwą opieką, będącą odpłatą za lata dzieciństwa. Napisana w czasach mongolskich księga „24 [Przykłady] Xiao” (《二十四孝》) wylicza ekstremalne – choć w oczach ówczesnych Chińczyków godne podziwu – przykłady takiej opieki. I tak, pewien mężczyzna był gotów zabić swego trzyletniego syna, bo za sprawą małego zabrakło pokarmu dla jego matki staruszki. Inny człowiek w sile wieku ubierał się w kolorowe dziecięce ubranko i udawał niezgrabnego kilkulatka, ku ucieście stetryczących rodziców. Pewien desperat zrosił wysuszoną ziemię własnym łzami, aby wyhodować świeże pędy bambusa, idealne na zupę dla umierającej z głodu matki. I tak dalej.

***Xiao* jest nadal silnie zakodowane w chińskiej mentalności** i w oczywisty sposób kojarzy się z tradycją konfucjańską. Na straganach w Qufu, rodzinnym mieście Konfucjusza, można kupić „24 [Przykłady] Xiao” w wersji dla dorosłych, czyli klasyczny tekst ze współczesnym komentarzem, i w wersji czytanki z obrazkami dla dzieci. Yu Dan (于丹), autorka popularnego programu telewizyjnego i bestsellerowej książki o konfucjanizmie (《论语》感悟), w pierwszym jej rozdziale pisze właśnie o *xiao*, przekonując, że to pierwsza pośród cnót (百善孝为先). Tymczasem zachodni dyskurs na temat konfucjanizmu wybija zwykle na pierwszy plan cnotę humanitarności *ren* (仁), która kojarzy nam się w oczywisty sposób z chrześcijańską miłością (*agape*). Jest to spuścizna po jezuitach, którzy szukali w chińskich wierzeniach punktów stycznych z nauką chrześcijaństwa i którzy polegli właśnie na *xiao*. Jezuita tolerowali bowiem te elementy chińskiej tradycji, które uznawali za pożyteczne i niekolidujące z własną wiarą. Wśród nich był tzw. „chińskie rytę”, związane z ceremoniami na cześć Konfucjusza i z kultem przodków, odprawianym przed tabliczkami ucieleśniającymi dusze zmarłych (牌位). Spotkało się to z krytyką konkurencyjnych zakonów (głównie dominikanów), a w spór włączyli się papieże i chińscy cesarze. Ostatecznie papież Benedykt XIV zakazał chińskich rytów, a Klemens XIV skasował jezuitów, m.in. pod pretekstem ich pobbżazania wobec azjatyckich form kultu.

W 1939 roku Pius XII po dwóch wiekach odwrócił jednak werdykt Benedykta XIV i pozwolił chińskim katolikom na uprawianie kultu przodków. W ten sposób, chcąc łowić dusze na egzotycznych wodach, Kościół skapitulował przed ***xiao*, wedle którego**

rodzicom należy się godny pochówek, o czym zresztą zaświadcza „24 [Przykłady] Xiao” – Chińczycy byli gotowi sprzedać się w niewolę, aby taki pochówek zapewnić. Do dziś, jak Chiny długie i szerokie, pola pełne są kurhanów. Europejczycy chowają swoich zmarłych na odrębnych cmentarzach (ewentualnie w kościelnych kryptach), co proksemicznie symbolizuje zerwanie więzów za życia i oddanie dusz we władanie Boga. W Chinach zmarły pozostaje częścią rodziny, pochowany w kurhanie na ojcowiznie i hołubiony obiata m.in. podczas Święta Qingming na początku kwietnia. Mieszczanie, pozbawieni własnego gruntu, trzymają urny z popiołami bliskich w mieszkaniach, by oddawać im hołd na domowych ołtarzykach. I to też jest przejaw *xiao*.

Według tradycji, zmarli dopominają się o ofiarę przez następne cztery pokolenia. Ponieważ kontynuatorem rodu jest mężczyzna, tylko synowie i wnuki mogą zapewnić duszom ojców i dziadów pośmiertny spokój, karmiąc je obiata. Jak głosił **Mencjusz**, **„Istnieją trzy występki przeciw *xiao*, a największym z nich jest brak synów”** (不孝有三，无后为大). Przez wieki chińscy rodzice, dysponując ograniczonymi zasobami, zwykli z tego powodu topić córki, jako niepotrzebne gęby do wyżywienia. Odchowując syna, zapewniali sobie spokojne życie pozagrobowe (pozbawiony opieki zstępnych duch zmarłego zamieniał się w „głodnego ducha”, 饿鬼). Związana z polityką kontroli urodzeń dysproporcja płci – poprzez zabijanie żeńskich noworodków wykrywanych we wczesnym stadium za pomocą badań USG – to tylko nowa odsłona starego chińskiego dramatu.

Ale czy *xiao* przetrwa we współczesnych Chinach?

I tu dochodzimy do wreszcie do puenty i bardzo ciekawego problemu. ***Xiao* nadal wpływa w determinujący sposób na zachowania Chińczyków** i powinien sobie z tego zdawać sprawę m.in. każdy, kto chce w Chinach robić biznes. Przykładowo, rynek motoryzacyjny w Chinach zdominowany jest przez duże auta, bo tylko one mieszczą wielopokoleniowe rodziny. Starsi ludzie często decydują również o zakupie mieszkań, akcji itd., słowem – trzymają kasę.

Młodzieżowy bunt w zasadzie nie istnieje: w portretującym chińską scenę niezależną holenderskim filmie „Beijing Bubbles” (2005) niezależni muzycy skarżą się, że pozostają niewysłuchani, bo istnieje w zasadzie tylko muzyczny mainstream, w którym nie ma dla nich miejsca. Perkusistka żeńskiej kapeli punkowej Hang on the Box (挂在盒子上) wychwala rodziców za to, że pozwalają się jej realizować i ją utrzymują (!). Nic dziwnego, że w takiej rzeczywistości – „Tu nie będzie rewolucji”, jak śpiewał Big Cyc – jedyną drogą ucieczki od kontroli starszych pokoleń młodzi ludzie znajdują w wirtualnym świecie, a subkultura graczy komputerowych to w zasadzie jedyna licząca się w Chinach subkultura młodzieżowa. I przy okazji wielki rynek gier sieciowych.

Z *xiao* wynika m.in. fakt, że **Chińczycy mają dość specyficzne zwyczaje jako turyści**. Podróżują często całymi rodzinami, bo tradycja zakazuje zostawić starszych bez opieki. Ten fakt powinny uwzględniać zachodnie biura podróży, pamiętając, że w chińskiej wycieczce mogą się trafić takie rodzinne grupy, z liczniejszą reprezentacją osób w podeszłym wieku. Niegłupim pomysłem może być dodanie do programu wycieczki elementów prozdrowotnych – jak wiadomo, starsi ludzie bardziej o kwestie zdrowia się troszczą. W przypadku Polski takim elementem może być krótka nawet wizyta w uzdrowisku, połączona z konsumpcją wód leczniczych.

A wspólna wycieczka może być formą opieki i troski w najczystszym duchu *xiao*: w zeszłym roku pewien młody pekińczyk – o czym pisała prasa – przebył na piechotę drogę ze stolicy Chin do Xishuangbanna w Yunnanie, pchając na wózku inwalidzkim swoją niepełnosprawną matkę. Kobieta, która za życia opuściła Pekin zaledwie dwukrotnie, zawsze marzyła o podróży na egzotyczne Południe. Aby uszczęśliwić matkę, młodzian zwolnił się z pracy i w ciągu 100 dni pokonał 4000 km.

Oczywiście tego rodzaju nadmierna troska może być krępująca: Daniel A. Bell, autor bardzo ciekawej książki „China’s New Confucianism”, zwraca uwagę, że **wśród czołowych chińskich polityków próżno szukać siwizny**, gdyż wszyscy panowie farbują sobie włosy. Dlaczego? W „Księdze Mencjusza” napisano, że kiedy człowiek osiwieje, należy się nim troskliwie opiekować, więc **siwizna jest oznaką słabości** – odwrotnie niż w polityce Zachodu, gdzie siwe włosy to rękojmia doświadczenia i wiarygodności.

Ustawa o opiece nad osobami starszymi jest niewątpliwie realizacją tradycji konfucjańskiej, nakazującej państwu, aby edukowało obywateli w kwestiach moralnych. Inne azjatyckie kraje też utrzymują podobne przepisy, np. w Korei Południowej dorosłe dziecko nie może pozwać swojego rodzica, gdyż byłoby to właśnie pogwałcenie *hyo (xiao)*. Oczywiście politycy – nie tylko w Chinach – rzadko kierują się moralnością, a częściej rzeczywistymi, jeśli nie przyziemnymi, problemami i praktyczną kalkulacją.

Rozpad rodziny i jej krytyka następowały regularnie w okresach politycznego chaosu. Tradycyjną rodzinę krytykowano u zarania Republiki, kiedy to m.in. Ba Jin opublikował krytyczną powieść „Rodzina” (《家》), a Lu Xun strawestował Gogola, opisując w „Dzienniku obłąkanego” (《狂人日记》) historię człowieka przekonanego, że bliscy krewni zamierzają go utuczyć i zjeść. Kolejnym okresem gwałtownych międzypokoleniowych napięć była „rewolucja kulturalna”. Dlatego szacunek dla rodziców i kult przodków ma niewątpliwie aspekt zachowawczy i służy konserwacji

status quo (w tym systemu politycznego), dlatego też **chińskie władze popierają xiao**. I dlatego też kilka lat temu rozbito majowy „złoty tydzień” na kilka pomniejszych świąt, wśród których znalazło się właśnie święto Qingming (清明节), nazywane też „świętem sprzątnia grobów” – poświęcone pamięci przodków. Ale nie wszyscy już wiedzą czemu to święto miałoby służyć: pojawiły się pytania, czy można życzyć „Szczęśliwego Święta Qingming”? (To trochę tak, jakby u nas życzyć „Szczęśliwych Zaduszek”).

Tradycja w Chinach jest zagrożona przez szybkie przemiany cywilizacyjne, a szczególnie przez gwałtowną urbanizację i migrację ze wsi do miast. Na przenosiny zdecydowało się kilkaset milionów osób, powstała cała „płynna populacja” (流动人口), wędrująca za pracą po całym kraju – tak jak to się dzieje w USA czy w Unii Europejskiej. Ci ludzie zwykle rodziców ze sobą nie zabierają, bo tylko nieliczni są w stanie dorobić się na tyle, aby ich ze sobą sprowadzić ze wsi do miasta, czy też z mniejszego ośrodka do większego. W ten sposób **tradycyjne więzi ulegają osłabieniu, społeczeństwo się atomizuje i upodabnia do społeczeństw zachodnich**, goniących za pracą i konsumpcją. Rzesza 185 milionów ludzi powyżej 60. roku życia staje w obliczu samotnej starości. Zdarzają się przypadki skrajne, kiedy to np. wyrodny syn umieszcza starą matkę w chlewie. I nie jest to bynajmniej jego prywatna sprawa – w chińskiej tradycji zepsucie obyczajów zapisywane jest na karb rządzących, którzy powinni być niczym Gwiazda Polarna – trwać niewzruszenie, pełniąc rolę moralnego drogowskazu.

Jednak przemiany społeczne i demograficzne wpływają również na mentalność – ludzie podróżują i porównują, a zatem patrzą na rzeczywistość krytycznie. Przekonuje o tym reakcja chińskiej prasy na nową ustawę. Wynika z niej, że o ile Chińczycy wciąż czują się w obowiązku przestrzegać xiao i spłacać dług wobec starszych pokoleń, o tyle nie chcą, aby państwo prowadziło ich w tej kwestii za rękę.

Przejrzałem trochę materiałów prasowych. I choć nikt nie krytykował w nich władz, to autorzy skupiali się na **problemach praktycznych związanych z obowiązkowymi odwiedzinami**. Pewien dziennik w Chengdu opisał trzy przypadki, w których obywatele zostali przez nowe prawo postawieni przed dramatycznym, iście szekspirowskim wyborem.

Mamy więc historię pana Wu, alkoholika, który rozwiódł się z żoną i zostawił dzieci. Dzieci dorosły i wcale nie mają ochoty oglądać ojca pijaka. Kiedyś być może zechcą się z nim pojednać, ale powinien to być chyba ich własny wybór? – pyta dziennikarz.

W drugiej historii przewijają się kwestie spadkowe. Pewna kobieta miała trójkę dzieci, dwóch synów i córkę. Starsze rodzeństwo dało sobie radę w życiu i wyfrunęło z gniazda, ale najmłodszy syn chorował, miał problemy ze znalezieniem stabilnego zatrudnienia. Kiedy się ożenił, matka pozwoliła mu mieszkać u siebie. Starsze dzieci są o to zazdrosne, uważają, że matka im również powinna pomóc, dlatego nie chcą jej oglądać. Kobieta wydzwania do nich, ale pozostają niewzruszone.

Wreszcie przykład trzeci: 70-letnia pani Liu oczekuje na wizyty córki, ale córka traktuje ją chłodno. „Mamą” nazywa mamkę, którą zapracowani rodzice najęli, aby zajęła się dziewczynką. Dorosła córka ma do rodziców żal, że jej nie poświęcali czasu. Ten problem może nam się wydawać dziwaczny, ale opiekunki do dzieci są w Chinach znacznie popularniejsze niż w Polsce. Wynajmowanie niań – czy też *ayi* (阿姨), czyli „ciotek”, jak się je nazywa – to w dużych miastach zjawisko powszechne. W Parku Stulecia w pobliżu mojego szanghajskiego mieszkania regularnie widuję dzieci pod opieką niań.

Co ciekawe, często są to dziewczynki.

Update chińskiej tradycji w wydaniu wielkomiejskim zaleca bowiem, aby to pan młody wniósł do związku lokum. Niestety, w Szanghaju i innych dużych miastach ceny mieszkań poszybowały w górę i coraz więcej rodzin nie jest w stanie spełnić tego obowiązku. A to oznacza, że zostaną z synem loserem, który z braku mieszkania nigdy się nie ożeni. Albo będą musieli sobie wypruć żyły na wiano dla niego.

Praktyczni szanghajczycy coraz częściej decydują się zatem na posiadanie córki.

Wprawdzie kiedyś wydanie dziewczynki za męża oznaczało jej utratę (wolno jej było odwiedzać rodziców raz do roku), ale dziś ten obyczaj wydaje się śmieszny. Chińskie dziewczęta chodzą do pracy, odwiedzają do woli rodziców i cieszą się swobodą większą niż Japonki i Koreanki. Emancypacja kobiet to niewątpliwie zdobycz komunistycznej modernizacji, o czym zresztą przekonuje w swej sztandarowej powieści „Obfite piersi, pełne biodra” świeżo upieczony chiński noblista Mo Yan.

Jak pisałem w „Korei szerokopasmowej”, **odpowiednie warunki ekonomiczne mogą przekształcić na wskroś takiego czy innego „ducha narodowego”,** czego najlepszym dowodem są dzieje stereotypów – Niemca, Japończyka czy Koreańczyka. Wiele wskazuje na to, że ten proces właśnie dokonuje się w Chinach, a ***xiao* może niedługo stać się dla młodych pokoleń pojęciem równie abstrakcyjnym, jak cnota dla młodych Europejczyków.**

Ale czy to będzie zmiana na lepsze?

Lekcja 3. Brud i miód

Widzieliście to na pewno nie raz: wielkie, wypielęgnowane ostrze na końcu małego palca. Inne paznokcie u dłoni pozostają normalnej długości, ale ten jeden wyjątkowy odstaje okrutnie na kilka centymetrów, niczym szpon wampira w filmie klasy B. Od czasu do czasu ostrze łąduje w uchu, a jego właściciel kręci metodycznie paluszkami to w jedną, to w drugą stronę.

Wreszcie wyciąga paznokciec z otworu i niedbale strzepuje urobek wprost pod nogi. Niezależnie od tego, czy jest na ulicy, w metrze, czy w pociągu. I nie tylko w Chinach – największy taki pazur miałem okazję podziwiać u pewnego kambodżańskiego pogranicznika, kiedy przez pół godziny kontemplował mój polski paszport, czyszcząc przy okazji jamę uszną.

Niedawno **Katarzyna Pawlak** pisała w *Na Temat Chin* o zachowaniach chińskich turystów, które rażą tubylców w krajach przyjmujących, takich jak Polska. Dłubanie w uchu za pomocą higienicznego szponu to z pewnością jeden z najbardziej hardkorowych przypadków, które zniesmaczają laolajów w Chinach i *beyond*. Internet pełen jest opisów obrzydzenia, ale jeżeli spojrzymy na ten problem w szerszym kontekście, to możemy braci Chińczyków zrozumieć i zdobyć się na nieco więcej tolerancji.

Paznokciec Drakuli

Zjawisko „wampirzego paznokcia” postrzegałem długo w kategoriach najzwyczajszej **kulturowej niekompatybilności** i próbowałem neutralizować absmak, tłumacząc je sobie jako przaśny przejaw chińskiego praktycyzmu. To przecież oczywiste, że osobnik wyposażony w superpaznokciec może natychmiast usunąć wszelkie swędzenia i szumy, co czyni jego życie przyjemniejszym. Wystarczy, że utrzyma przyrząd w czystości, a nie będzie musiał wprowadzać do jamy usznej żadnych potencjalnie groźnych ciał ani substancji obcych, w rodzaju wacików czy płynów czyszczących, oszczędzając sobie wydatku i fatygi. A przecież pazur znajduje jeszcze więcej zastosowań: można nim podłubać w nosie, między zębami i w innych zakamarkach.

Długi paznokciec może dodatkowo pełnić tę samą funkcję, co pawie ogony, czyli imponuje kobietom. Utrudnia życie, bo łatwo go złamać, ale dzięki swej kruchości manifestuje społeczny status właściciela, który nie musi się parzyć pracą fizyczną. Opazurzeni bywają ludzie półświatka, interesu czy też urzędnicy, którzy łączą przyjemne z pożytecznym, bo ozdoba przydaje się jako nożyk do papieru. W tym celu

można zresztą wyhodować sobie inne paznokcie, np. u kciuka, a są też i tacy, którzy zapuszczają ostrza u wszystkich palców jednej, czy nawet obu dłoni. Tak właśnie postępowali **Mandżurowie**, którzy opanowali Chiny w XVII wieku. Wśród mandżurskiej arystokracji pazury zapuszczały obie płcie, czasem na pięć, dziesięć i więcej centymetrów. W muzeach można podziwiać nawet zdobne ochraniacze na długie paznokcie, należące do takich znakomitości, jak **cesarzowa-regentka Cixi**. A że za czasów **dynastii Qing** zwyczaje arystokracji były kopiowane przez coraz niższe warstwy chińskiego społeczeństwa, Chińczycy kulisi zaczęli z czasem hodować wampirze pazury.

I tak oto patrzyłem na chińskie pazury **przez pryzmat historii i socjologii**, co podszeptował zdrowy rozsądek, niczym Lemowski Wuch w przygodach Automateusza. Podszeptował i podszeptował, aż niespodziewanie przeczytałem o **pewnej różnicy genetycznej, która odróżnia Azjatów oraz rdzennych Amerykanów** od innych wariantów *hominis sapientes*. Odmienność DNA sprawia, że: (1) Azjaci i rdzenni Amerykanie mniej się pocą (dlatego sami uważają często, że nieumyjni biali zwyczajnie śmierdzą); (2) w ich uszach zamiast lepkiej i płynnej woskowiny wydziela się substancja sucha, coś w rodzaju wosku. Mokry „miodek” pojawia się zaledwie u 4-7 proc. Chińczyków (u Europejczyków w 60-70 proc., u Afrykanów – w 99 proc.), toteż w języku chińskim wydzielinę tę nosi nazwę „usznego brudu” (耳垢, *ergou*). A brud, jak to brud, trzeba czasem proaktywnie usunąć, bo sam nie raczy wypłynąć. I dlatego właśnie historia prozaicznych patyczków do uszu, jakie znajdziemy dziś w każdej polskiej łazience, zaczyna się w Chinach w okresie **dynastii Shang**, czyli jakieś 1300 lat p.n.e. Jak ustaliła archeologia, Chińczycy wykonywali tego typu przyrządy od wieków z nefrytu, kości słoniowej, drewna, srebra i tak dalej, a nazywali je m.in. „łyżkami do dłubania w uchu” (挖耳勺, *wa er shao*).

Tak chciała Matka Natura, a w zasadzie – ewolucja. Przypuszcza się, że rasa żółta (tak, wiem, to brzydki, archaiczny i nieprecyzyjny termin) **dostosowała się po prostu do ekstremów klimatu Azji Wschodniej**: od chłódów Syberii po południowochińskie upały. O tym, że zredukowana potliwość (a wraz z nią zredukowana wilgotność woskowiny usznej) to wspaniałe dostosowanie, mogłem się przekonać na własnej skórze mieszkając w Szanghaju. Od połowy czerwca do końca września upał jest tu taki, że spodnie od garnituru muszę oddawać do prania co tydzień, bo na pasku i wzdłuż szwów pojawiają się białe zacieki – to sól, która wytrąca się z parującego potu. W przeciwieństwie do chińskich kolegów, pocę się niczym butelka zimnego piwa wyciągnięta z lodówki.

Inne ewolucyjne modyfikacje tego typu występujące wśród Azjatów to nieco grubsza warstwa tłuszczu pod skórą, która lepiej chroni przed zimnem, jak i przed upałem (pomarszczone przekwitające Europejki mogą jej pozazdrościć chińskim babciom, które nierzadko cieszą się cerą podlotków), a także tłusciutkie powieki, osłaniające oczy (o tym później).

Odkrycie, iż za **różnicami kulturowymi**, wzbudzającymi tak żywe emocje i dyskusje, kryją się **fizyczne odmienności warunkowane genetycznie**, jest w istocie fascynujące. Oczywiście, inne turystyczne ekscesy opisane przez Kasię należałoby tłumaczyć raczej na gruncie historii najnowszej, ale myślę, że perspektywa biologiczna jest oświecająca i warto przy niej pozostać. Oto trzy ciekawe przykłady.

Przykład 1. Kto pije mleko...

Żołądek każdego zdrowego oseska na świecie jest w stanie trawić laktozę – cukier, który występuje w mleku ssaków. W ludzkim – w wyjątkowo dużym stężeniu. Jego trawienie ułatwia enzym (laktaza), którego produkcja dramatycznie spada u większości małych ludzi po odstawieniu od piersi, podobnie zresztą jak u innych ssaków. Ale w trzewiach ok. 80 proc. Indusów czy Europejczyków laktaza jest produkowana w dużych ilościach także w dorosłym życiu. Mutacje, które za to odpowiadają, pojawiły się być może w Turcji, jakieś 20 do 2 tys. lat temu, a następnie rozpowszechniły wraz z kulturą hodowli krów.

W Europie Północnej, np. wśród Holendrów, nie trawi laktozy tylko 1 proc. populacji, a wśród Duńczyków – 4 proc. **Pomógł klimat**. Dzięki niskiej temperaturze, spożywano na ogół mleko świeże, o wysokiej zawartości laktozy, i przypuszczalnie dzięki temu pojawiły się mutacje ułatwiające jej trawienie długo po okresie dzieciństwa. W ciepłym klimacie mleko szybko się zsiada, dzięki zawartym w nim bakteriom, które lubią ciepło i pracują wtedy wydajniej, rozkładając przy okazji część laktozy. Ulubionym mlecznym dodatkiem do posiłku Indusa, Persa czy Turka jest raczej jogurt niż świeże mleko, a wśród mieszkańców Sycylii, gdzie jest gorąco i gdzie krów raczej nie zbywa (na skały trudno jest je wypędzić), nietolerancja laktozy sięga 71 proc.

Dla Chińczyków – **nietolerancja laktozy sięga w ich przypadku aż 95 proc. populacji!** – świeże mleko od krowy będzie idealnym przepisem na długą wyprawę tam, dokąd nawet król chadza piechotą. Z dodatkowymi objawami w postaci bolesnych kolek oraz zwiększonej emisji gazów jelitowych, produkowanych przez bakterie marki Danone, które po przejściu treści pokarmowych przez żołądek biorą się za niestrawiony cukier. Nic dziwnego, że Chińczycy odkrywają mleczną kulturę Zachodu dopiero od niedawna, dzięki rozwojowi przemysłu spożywczego, który stosuje mleko UHT, czyli pasteryzowane. **Chińska tradycja ceni natomiast mleko sojowe**, które jest obowiązkowym dodatkiem do śniadania w południowych częściach kraju, np. w Kantonie. Z tego mleka robi się również ser – **tofu**.

Mleczne krowy były w Chinach raczej nieznanne, co zaowocowało ciekawymi różnicami w kulturze i języku. Na przykład jednym z ulubionych motywów rustykalnych w chińskim malarstwie jest chłopiec jadący na wołu, bo bawoły wodne były szeroko rozpowszechnione – zwierząt tych używano do prac polowych.

W języku chińskim nie ma określenia „**głupia krowa**”, które przemawia do wyobraźni każdego, kto miał kiedykolwiek okazję gnać mleczne krowy na pastwisko. Słowo *niu* (牛, oznaczające wszelkie rodzaje bydła, łącznie z jakami i bawołami wodnymi) ma raczej **pozytywne konotacje**, związane z siłą i wytrzymałością. Kilka lat temu określenie 最牛(*zui niu*, można je przetłumaczyć na polski: „po byku!”) zrobiło furorę w slangu młodzieżowym, tak jak np. w polskim słowo „zakręcony”.

Przykład 2. Powieka, która wreszcie drgnęła

Wróćmy teraz do oczu, tych tak zwanych „skośnych”. W ich przypadku mamy do czynienia ze zjawiskiem wspaniałym: to nie kultura dopasowuje się do biologii (jak w przypadku dłubania w uchu czy tolerancji na mleko), lecz sami **ludzie poprawiają biologię**, żeby dopasować się do wymogów nowoczesnej, wielkomiejskiej **kultury w stylu zachodnim**.

Z jakichś powodów **w Polsce utrzymuje się przekonanie, że Chińczycy mają oczy „skośne”**, choć w istocie po zamknięciu powiek szparki ich oczu są zazwyczaj idealnie równoległe (skośne bywają oczy np. u Mongołów). To dziwne, że nie znalazł się nikt, kto by odpowiednio dał rzeczy słowo. Spieszę donieść, iż w języku chińskim występuje rozróżnienie pomiędzy „**powieką pojedynczą**” (单眼皮, *dan yanpi*) i „**podwójną**” (双眼皮, *shuang yanpi*). Przygniatająca większość Chińczyków ma oczywiście powiekę pojedynczą i wiadomo, że jest to cecha recesywna. Innymi słowy, dziecko rodziców o odmiennych rodzajach powiek, przykładowo Chinki i Polaka, będzie miało powiekę podwójną, bo taka cecha jest genetycznie dominująca.

Oczywiście, **obecny światowy wzorzec piękna faworyzuje ludzi o powiece podwójnej**, z cienką skórką ściśle przylegającą do gałki ocznej i z zagłębieniem poniżej brwi. Takie oczy, z migającą dramatycznie powieką, są w stanie wyrazić więcej uczucia, wydają się żywsze i większe. Takimi oczami błyskają do nas nowe gwiazdy chińskiego kina i estrady. Nie sądzę, by wszystkie one odziedziczyły podwójną powiekę po swych rodzicach. W większości przypadków artyści poddali się odpowiedniemu **zabiegowi chirurgii plastycznej** (双眼皮手术, *shuang yanpi shoushu*), który w azjatyckim show-businessie jest po prostu obowiązkowy i który z gwiazd promieniuje na „prostaczków”. **W Korei Południowej poddaje się temu zabiegowi znaczna część społeczeństwa**, bo tam podwójna powieka oznacza lepszą pracę i fajniejszych przyjaciół. **W Chinach gorączka chirurgii plastycznej właśnie się zaczęła** i wywołuje podobne skutki. Kto (jeszcze) nie zdążył oddać swych powiek w ręce chirurga plastycznego, może skorzystać z rozwiązania tymczasowego – w bodaj każdej telewizyjnej makijażowni w Chinach jest na stanie... taśma klejąca, z której wycina się maleńkie kawałki służące do sfingowania podwójnej powieki.

To smutne, ale za m.in. za sprawą podwójnej powieki, Chińczycy – oraz ich sąsiedzi – powszechnie uważają, że biali ludzie są ładniejsi, a już szczególnie – białe dzieci.

Kto podróżował po Chinach z dziećmi, ten wie, że w miejscach nawiedzanych przez rzesze turystów aż trudno się opędzić od domorosłych fotografów, wśród których prym wiodą panie w średnim wieku, uzbrojone w iPhone'y. Czasem pytam je, po co im takie zdjęcie, a one zawsze odpowiadają, że białe dzieci są 这么可爱 (*zheme ke'ai*, „takie słodkie”)! Niektóre dodają, że chińskie dzieci nie są takie ładne, z czym się osobiście nie zgadzam.

Dzieci jak dzieci – wszystkie są piękne, a przykre zjawisko „cudze chwalicie, swego nie znacie” w kontekście białych i czarnych opisuje Elliot Aronson w swoim słynnym wykładzie psychologii społecznej, podając przykład czarnych dziewczynek bawiących się białymi lalkami. W Chinach najbardziej pożądane lalki również przypominają zazwyczaj białe kobiety (wiem, bo zwiedziłem z córką niejedną sklep i bazar). Moim skromnym zdaniem, **skoro już chiński rząd reguluje w krajowej popkulturze zawartość takich treści jak pornografia czy podróże w czasie, to w pierwszej kolejności powinien zabrać się za lalki**. No chyba, że chce napędzić klientek chirurgom plastycznym operującym seryjnie powieki, nie wspominając o producentach wybielających maści do skóry. I taśmy klejącej.

Przykład 3. Kultura octowa (醋文化, *cu wenhua*)

Z powodu uwarunkowań biologicznych Chińczycy inaczej reagują na alkohol i mają **odmienną kulturę picia**. Na ogół zakąszają, nawet do piwa, zaś osobników snujących się po ulicach z oznakami „wstawienia” praktycznie się nie widuje. Cóż, Chińczykom znacznie trudniej osiągnąć przyjemny i długotrwały stan upojenia alkoholowego. Nie piją tak namiętnie, jak ludzie Zachodu, i według powszechnego przekonania, mają słabe głowy. W rzeczywistości jest jednak dokładnie na odwrót, o czym wie każdy, kto się mierzył z Chińczykami przy stole. Niektórzy potrafią wlać w siebie pokaźne ilości trunku i zachować przy tym twarz pokerzysty oraz trzeźwy umysł.

Wątroba typowego Chińczyka (i Koreańczyka) błyskawicznie przetwarza alkohol etylowy w aldehyd octowy za sprawą wariantu genu ADH1C, który występuje niemal w całej miejscowej populacji. Wariantów odpowiada za powstawanie bardzo wydajnej odmiany enzymu (dehydrogenazy alkoholowej), który pozbawia nosiciela znacznej części przyjemności z konsumpcji. A dalej jest jeszcze gorzej: powstały aldehyd octowy jest już rozkładany znacznie wolniej, za co z kolei odpowiada gen ALDH2, który w wersji rozpowszechnionej w Chinach koduje w DNA mitochondrialnym mało wydajną odmianę dehydrogenazy aldehydowej. W efekcie aldehyd zlewa się szeroko po organizmie, poszerzając naczynia włosowate, co wywołuje często charakterystyczny rumień na twarzy (红脸, *hong lian* - fachowo: 酒精性脸红反应, *jiujingxing lian hong fanying*, a po angielsku: *Asian glow* albo *Asian flush*). Na obliczu i ciele takiego osobnika pojawiają się często czerwone plamy, czemu towarzyszy m.in. uczucie pieczenia w ustach. Osoby z takim genetycznym wyposażeniem nie tyle się upijają, co podtruwają, nierzadko

przeżywając po obfitej libacji kaca-giganta. **Zmusiło to tradycyjną medycynę chińską do wynalezienia szeregu leków na tę przypadłość**, otoczonych legendą i chętnie nabywanych przez Polaków odwiedzających Państwo Środka.

I tu znów kłania się ewolucja. Aldehyd octowy – sprawca kaca – jest najbardziej toksyczną z substancji w alkoholowym łańcuchu trawiennym: jest bardziej trujący od alkoholu, z którego powstaje, a także od kwasu octowego, na który przerabia go następnie nasza wątroba. Uczeni spekulują, że osoby z tendencją do wyższych koncentracji aldehydu octowego w organizmie mogły być lepiej przystosowane do realiów prachińskiej i starochińskiej gospodarki. Były one bowiem bardziej odporne na pasożyty wnikające do ustroju poprzez kontakt z wodą, przede wszystkim w centralnych i południowych Chinach, gdzie tradycyjnie dominowała uprawa ryżu. Wśród tych pasożytów znajdziemy m.in. pełzaka czerwonej, zwanego potocznie „amebą”. Innymi słowy, takie geny sprawiały, że ich posiadacze opierali się atakowi ameby i rzadziej umierali, przez co przekazywali swoje dziedzictwo genetyczne kolejnym pokoleniom. Zaś nieuprzywilejowani genetycznie wygrywali w kontakcie z amebą nagrodę Darwina. I jeśli nie chcą Państwo podzielić ich losu, to **na wakacjach w tropiku unikajcie surowych potraw**, np. świeżo mytych warzyw i owoców.

Oczywiście, aldehyd octowy trzeba było najpierw do organizmu wprowadzić, co by tłumaczyło, czemu w chińskiej kuchni i tradycji tak wielką rolę odgrywa **ocet ryżowy**, dodawany obficie do potraw. Skoro alkohol nie leczy duszy chińskiej tak skutecznie jak chociażby duszy słowiańskiej, można się tu było skupić na prozdrowotnym meritum: w niektórych regionach Chin – np. w prowincji Shanxi (山西) – jako napój konsumowany jest właśnie... ocet. Prawdopodobnie Chińczycy zauważyli, że jego popijanie sprzyja zdrowiu i dłuższemu życiu.

Na zakończenie: w świetle powyższych wywodów, chciałem wysunąć hipotezę, że najśłynniejszy chiński poeta **Li Bai** (李白), autor niezrównanych utworów opiewających konsumpcję alkoholu (nazywany w chińskiej tradycji „Alkoholowym Mędrce” – 酒仙, *Jiu Xian*), pozbawiony był wyżej wymienionych defektów genetycznych. Dlaczego? Ano z racji pochodzenia.

Zaciekle dyskusja na temat miejsca jego urodzenia pozostaje nierozstrzygnięta, ale najtęższe głowy (m.in. Guo Moruo), wnioskowały, iż miejsce to leżało poza Chinami, gdzieś w dzisiejszym Kazachstanie albo Kirgistanie. Według legendy, matka poety pochodziła z jakiegoś tureckiego ludu, a wybitny sinolog Chen Yinque (陈寅恪, 1890-1969) uważał, że Li należy zaliczyć do Huren (胡人), czyli ogólnie ludów środkowoazjatyckich. Niektórzy przypuszczają, że Li Bai wyglądem nie przypominał nawet Hana, że miał jasne włosy i niebieskie oczy. Mógł mieć zatem genotyp nietypowy jak na Chiny, a jego dzieło i życiorys wskazują, że upijał się swojsko, z iście ułańską fantazją i z „sercem alkoholowym”, jakie opiewał w wierszu „Śmierć poety” K.I. Gałczyński. Według tradycji, Li Bai utonął po pijaku, próbując pochwycić rękami odbicie Księżycy w wodzie.

Z okazji zbliżającego się Święta Środka Jesieni, kiedy to należy podziwiać Księżyc w pełni, pragnę zadedykować PT Czytelnikom słynny utwór wielkiego poety w przekładzie Jarka Zawadzkiego. Zapraszam do dyskusji w komentarzach na temat praktycznego znaczenia różnic biologicznych pomiędzy różnymi wariantami człowieka myślącego. Oraz do refleksji na taki oto temat: czy tak wspaniały literacki obraz pijaństwa mógł powstać w umyśle ogarniętym aldehydem octowym?

„Picie do księżyca”

Li Bo, (tłum. Jarosław Zawadzki)

Wśród kwiatów siedzę z wina dzbanem w dłoni.
Nikt się nie dosiadł, no to sam się poję.
Unoszę kielich, Księżyc zapraszając,
A razem z Cieniem jesteśmy we troje.
Choć Księżyc, biedak, pić to nie potrafi,
Cię ślepo ruchy powtarza wciąż moje.
Chyba z Księżycem się zaprzyjaźnimy
I razem z Cieniem na umór spijemy.
Gdy śpiewam, Księżyc opętany skacze,
Gdy tańczę, Cię mój płąsa ze mną niemy.
Rankiem radością swą się podzielimy
I rozejdziemy się ku chwale wiecznej.
Pijani, znowu będziemy się błąkać
Bez końca gdzieś po ścieżkach drogi mlecznej.

月下独酌

李白

花间一壶酒，独酌无相亲。
举杯邀明月，对影成三人。
月既不解饮，影徒随我身。
暂伴月将影，行乐须及春。
我歌月徘徊，我舞影零乱。
醒时同交欢，醉后各分散。
永结无情游，相期邈云汉。



OŚRODEK
SPRAW
AZJATYCKICH

RAPORTY OPINIE DORADZTWO

PIERWSZY W POLSCE UNIWERSYTECKI
THINK-TANK

DORADZTWO POLITYCZNE I BIZNESOWE

ZESPÓŁ Z PRAKTYKĄ W AZJI

www.osa.uni.lodz.pl

